Rocznik I. Kraków, 1 września 1899. Numer 3.

SKARBNICA

Pismo ludowe illustrowane

popularno-naukowe i powieściowe.

WYDAWCA I REDAKTOR:
Ks. Marceli Dziurzyński.



MÓDL SIE i PRACUJ.

Od Wydawnictwa!

Przyobiecaliśmy powiększyć *Skarbnicę* jeszcze o cztery kartki druku, i to już z 3-cim zeszytem. Mimo atoli najlepszej naszej chęci, na razie tego zrobić nie możemy, gdyż liczba prenumeratorów nie jest jeszcze taką, aby nam na takie zwiększenie pisma, czyli na zwiększenie kosztów nakładu pozwalała.

Przystąpimy do zapowiedzianego zwiększenia pisma wtedy, gdy liczba prenumeratorów wzrośnie odpowiednio. Niechaj tedy Szan. Czytelnicy rozszerzają *Skarbnicę* — to objętość jej zwiększymy. Zanim atoli to nastąpi, *Skarbnica* mieć będzie dwa arkusze druku, jak dotąd.

Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** złr. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

X. Stefan Podworski
Gwardyan
w Alwernii (poczta w miejscu).

Rok I. Kraków, 1 września 1899. Numer 3.

SKARBNICA

popularno-naukowa i powieściowa
dla ludu polskiego.
Wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Przedpłata wynosi:
w Austryi: na rok **2** złr., **50** ct. na pół roku **1** złr. **25** ct. — **W Niemczech:** na rok **5** marek. — **W Ameryce:** rocznie **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

KRÓLEWSKIE GODY WESELNE.

(Urywek z historyi polskiej).

I.

Za dawnych czasów, w tak zwanych wiekach średnich, ludzie i całe kraje pochopniejszymi byli do wojen i zatargów niż dzisiaj, a pograniczni mieszkańce dwóch państw sąsiednich często siebie wzajemnie napadali, zwłaszcza, gdy granice nie były obsadzone należytą strażą, to przez chęć zdobyczy, to dla popisania się rycerskiem męstwem i odwagą.

Najeżdżali się podobnież i mieszkańcy kresów węgiersko-czeskich; co chwila donoszono królowi węgierskiemu Ludwikowi o gwałtach Czechów i Morawców w przyległych ziemiach węgierskich, cesarzowi rzymskiemu, Karolowi, który zarazem był królem czeskim, o rozbojach Węgrów w włościach morawskich.

Napady graniczne stawały się nieraz przyczyną sporów i naruszały zgodę, przecież między tymi monarchami nigdy na długo nadwerężoną ona nie była. W ostatnim jednakże czasie, około r. 1360, Morawcy dokuczyli bardzo Węgrom, wysłał więc Ludwik, król węgierski, posłów do cesarza niemieckiego, króla czeskiego, Karola, ze skargą na świeże łupieże jego poddanych. Wszczęła się żywa rozprawa pomiędzy posłami wę-

gierskimi a cesarzem. Uniesiony nierozważnym gniewem w ciągu gorącej sprzeczki, wyraził się cesarz w sposób ubliżający o królowej Elżbiecie, matce króla Ludwika, a siostrze naszego króla polskiego Kazimierza.

Pani ta dla cnót wielkich i rozumu swego powszechnie szanowaną i uwielbianą była, jako najzacniejsza z niewiast owego czasu, nietylko w kraju własnym, lecz w całej Europie, nic więc dziwnego, że urażeni posłowi, nie mogąc ścierpieć obojętnie zniewagi matki królewskiej, rzucili się do również porywczej odpowiedzi, zerwali układy, nakoniec imieniem pana swego wypowiedzieli cesarzowi wojnę.

Cesarz, mocno zmięszany groźnem wystąpieniem posłów, złagodniał powoli i odezwał się, iż pochwycone przez nich wyrazy wymówił w uniesieniu, ale posłowie nie dali się tem uspokoić. „Słowa zniewagi — rzekli — nie zatrzeć słowem wymówki. Jeśli zresztą było obowiązkiem naszym ująć się obrazy honoru królewskiego, toć nie jest już w naszej mocy przebaczyć taką obrazę“. Poczem z wypowiedzeniem wojny, które cisnęli od razu w oczy cesarzowi, opuścili dwór i stolicę Karolową.

Po powrocie do kraju opowiedzieli królowi najdokładniej, co zaszło w Pradze i jak sobie postąpili wobec cesarza. Król Ludwik nietylko pochwalił przywiązanie posłów, jakie okazali dla kochanej jego matki i „spółrządczyni królestwa“, lecz nadto wynagrodził sowicie ich śmiałość, sam osobnym listem do cesarza potwierdził wypowiedzenie wojny i począł się co prędzej uzbrajać.

Ażeby tem pewniej uderzyć na cesarza i okazać jak wszyscy obstają za cześć matki jego, postanowił Ludwik wystąpić na tę wojnę w jak najliczniejszem towarzystwie sprzymierzonych królów i książąt. Nasamprzód wysłał posłów do króla polskiego z wezwaniem o pomoc, bo mógłżeby Kazimierz, jako brat, milczeć na znieważoną sławę swej siostry? Tak się też stało. Kazimierz oświadczył, że nietylko wszystkiemi siłami wesprze Ludwika i wystąpi na wojnę w własnej osobie, ale nadto przyprowadzi z sobą posiłki ruskie, litewskie i tatarskie.

Bogusław, książę pomorski, mający córkę Kazimierza za sobą, a tem samem spokrewniony z Elżbietą węgierską, przystąpił sam do związku przeciw cesarzowi, nadto wciągnął do niego krewniaka swego, duńskiego króla, Waldemara IV. Przyłączyli się jeszcze dwaj potężni książęta niemieccy: Rudolf, książę rakuzki, i Mejnhard, książę bawarski. Zwłaszcza pomoc księcia rakuzkiego, słynnego z rozumu i gospodarności, zało-

życiela akademii wiedeńskiej, dodawała blasku sprawie Elżbiety, gdyż był zięciem cesarza Karola i stając do walki przeciw własnemu teściowi, oświadczył tem samem najgłośniej o jego niesłuszności. Cesarz, choć czuł że zawinił, poszukał też sprzymierzeńców pomiędzy książętami niemieckimi i gotował się do walki.

Zanosiło się na olbrzymią wojnę, jakiej w wiekach średnich nie było i już w lecie 1362 r. gromadziły się wojska węgierskie pod wodzą króla Ludwika w okolicach Trenczyna, wojska czeskie pod naczelnem dowództwem Karola w okolicach Kollina.

Tu na rozpostartych między niemi polach morawskich byłoby prawdopodobnie przyszło do krwawej rozprawy, gdy w tym samym czasie, po śmierci Innocentego VI, został Papieżem Urban V, mąż rzadkich przymiotów umysłu i wielkiej świątobliwości, który ważny wpływ wywarł na dalszy los wojny.

W samej rzeczy jedno słowo może być ciężką obrazą a zarazem wielką winą tego, który obrażające słowo lekkomyślnie powiedział, lecz czyż to ma prowadzić zaraz do wojny, czyż dlatego tysiące krew mają przelewać i życie swoje poświęcać? Ojciec św. nie mógł też na to pozwolić i zaledwie zasiadł na Stolicy apostolskiej wziął się gorliwie do zażegnania wojennej burzy, jaka podówczas światu chrzecijańskiemu groziła.

Śród starań o pojednanie powaśnionych władzców nadeszła zima, a że podówczas w zimie nie wojowano zazwyczaj, nastąpił mimowolny rozejm z groźbą ponowienia wojny na przyszłą wiosnę. Postanowił więc Papież korzystać z czasu i zaraz w samym początku r. 1363 wysłał od siebie posłów do powaśnionych z wezwaniem do zgody i groźbą, że sam wystąpi przeciw temu, co od zgody uchylać się będzie.

Wobec tak stanowczych nalegań nie śmiał nikt odmówić Papieżowi pośrednictwa. I cesarz Karol, widząc nadto nazbyt jasno niepomyślność położenia swego, i pobożny król węgierski Ludwik oświadczyli swą uległość Ojcu św. i gotowość do zgody, poczem nasz król Kazimierz został obrany sędzią polubownym, któryby przy pomocy Bolka, księcia świdnickiego, rozstrzygnął spór między cesarzem a królem węgierskim.

Niewiadomo czy sąd polubowny byłby w stanie pogodzić poróżnione strony i czy na wiosnę wojna nie wybuchnęłaby w całej sile, gdyby nie szczęśliwa myśl posłów wyswatania cesarza, niedawno owdowiałego, z księżniczką Elżbietą, wnuczką

króla polskiego, Kazimierza Wielkiego, a tem samem królowej węgierskiej, także Elżbiety.

Młoda wnuka Piastów, córka szczecińskiego księcia Bogusława, od lat kilku osierocona po matce, wychowywała się na dworze krakowskim. Młodociane lata księżniczki miały się już ku zamężciu, a jej pokrewieństwo z tylu królami, jako to z królem polskim, węgierskim, duńskim przeznaczało ją chyba bardzo wysokiemu oblubieńcowi. Słynęła też księżniczka niepowszednią urodą, łagodnością, a osobliwie rzadką siłą.

Opowiadano sobie o niej, iż nieraz, „gdy jej przyniesiono nową grubą podkowę, tak ją rozłamała, jakby z jakiego słabego drzewa była uczyniona, potem kucharskie tasaki i inne mocne narzędzia zawijała na palec jak wstążki; pancerz wziąwszy, jako koszulę wiotką od wierzchu aż do końca rozdarła“! Oblubieńcowi pięknej wnuki uśmiechał się jeszcze posag bogaty, przyrzeczony od możnego dziatka Kazimierza.

I rzeczywiście najlepszy to był środek zakończenia wojny, poswatani bowiem nieprzyjaciele nie tak prędko wezmą się znów do broni, przytem cesarz, ofiarując swój tron i rękę wnuczce obrażonej Elżbiety, wynagradzał niejako krzywdę, wyrządzoną babce, bo nigdyby się nie żenił z wnuczką tej, o uczciwości której miałby na prawdę złe wyobrażenie.

Gorliwe zabiegi posłów ku wielkiemu zadowoleniu Ojca ś. pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały. Prędzej niż można się było spodziewać, oświadczył się cesarz o rękę księżniczki Elżbiety, i gdy ta mu jej nie odmówiła, już na miesiąc następny (kwiecień 1363) wyznaczono czas ślubu, który dla tem większej oznaki szacunku dla Kazimierza miał się odbyć w Krakowie, przyozdabiając w ten sposób nowym blaskiem stolicę i króla Polski; rozstrzygnięcie całej sprawy pozostawiono na później.

II.

W Krakowie, gdzie wkrótce miał się spełnić obrzęd małżeński pięknej księżniczki, wnuczki ukochanego króla, radości nie było miary. Nie mówiono o niczem, tylko o tem weselu, tylko o przyjeżdżających panach i książętach. Spieszyło też w onym czasie do stolicy polskiej tak liczne i dostojne towarzystwo, jak mało która kiedykolwiek w swych murach widziała.

Dążył tam mianowicie oblubieniec cesarski, Karol IV., otoczony gronem panów czeskich i niemieckich, z innej strony

ojciec oblubienicy, książę szczeciński, Bogusław, z którym przybywał znów bratanek jego Waldemar, głośny na północy monarcha duński.

Zmierzał też do Krakowa najbardziej zainteresowany w całej sprawie król Ludwik, sławny naonczas pan korony węgierskiej. Przy boku syna Ludwika znajdowała się królowa Elżbieta, mimowolna przyczyna niedoszłej wojny i teraźniejszego wesela.

Każdy z monarchów średniowiecznych poczytywał sobie za obowiązek honoru mieć w swoim orszaku książąt hołdowniczych. Przybywali tym sposobem z cesarzem Karolem IV książęta bawarski i świdnicki: Otton i Bolko; z królem Ludwikiem przybył mazowiecki hołdownik Kazimierzów, książę Ziemowit. Stawiło się także poselstwo od księcia rakuskiego Rudolfa, który osobiście przyjechać nie mógł, a cóż za tłumy bezimiennych książąt pomniejszych, tak zwanych wędrownych czyli błędnych ze wszystkiego świata rycerzy płynęły obecnie do Krakowa!

Już się wszyscy książęcy i królewscy goście zjechali, brakowało tylko cesarza rzymskiego, któremu godność pierwszego monarchy w chrześcijaństwie nakazywała, według ówczesnego zwyczaju, przybywać wszędzie ostatnim. Nareszcie dano znać, że już jest w Olkuszu, wsiedli więc na koń wszyscy czterej królowie: Ludwik, Waldemar, Piotr i Kazimierz, i w towarzystwie Nuncyusza papieskiego, otoczeni nieprzejrzanym tłumem panów każdego dworu, wyjechali drogą olkuską naprzeciw cesarzowi.

O milę od Krakowa spotkały się obadwa nadciągające ku sobie orszaki. Uradowany okazaną sobie czcią, cesarz zsiadł z konia i szedł pieszo na spotkanie monarchów. Królowie, usłyszawszy o tem od swoich dworzan, zeskoczyli czemprędzej z siodeł i podobnież pieszo podeszli na powitanie oczekiwanego gościa. Wspaniały to a rozczulający był widok tylu panujących, pospołu zgromadzonych, którzy niedawno przedtem, zapaleni gniewem, sposobili się do wojny, a dziś serdecznie witali się wzajemnie.

Skoro pierwsze wzruszenie przepełnionych radością serc minęło, wsiedli wszyscy znowu wesoło na koń i ruszyli razem ku Krakowu, przy udziale zbiegłego na to rzadkie widowisko ludu. Tuż przed bramami miejskiemi czekał ojciec oblubienicy cesarskiej, książę Bogusław, wraz z panną młodą, otoczoną strojnem gronem matron i dziewic.

Nastąpiły teraz nowe ceremonie i powitania, dalej pokłony i przemowy witającego u bram stolicy duchowieństwa, mie-

szczaństwa, wszystkich stanów! Zeszedł na tem dzień cały i dopiero pod wieczór stanęli goście w zamku królewskim.

Miasto Kraków, ta starożytna książąt i królów stolica, siedlisko handlu i kunsztu dawnej Polski, rozległością i wspaniałymi budynkami należało wówczas do pierwszych w Europie, jednakże nie małą to było rzeczą tylu naraz i tak znakomitych gości, na parę tygodni przebywających, stósownie i wygodnie umieścić, pamiętać o wszelkich ich potrzebach, zabawy i uciechy rozmaitego rodzaju przygotować. Pojmiemy, że podejmowanie takiego towarzystwa wymagało wiele zachodów i wielkiego porządku i trzeba doświadczonego, obrotnego, starannego człowieka, któryby mógł takiemu zadaniu podołać i umiał wszystko należycie urządzić.

Zaradził temu przezorny i dbały o wygodę swych gości król Kazimierz. Wiedział on na kogo zdać tę uciążliwą lubo zaszczytną pracę ugoszczenia. Wiedział, że podskarbi jego, Mikołaj Wierzynek, naówczas stolnik sandomierski i rajca krakowski, godnie go w tem zastąpić potrafi, jemu więc powierzył urządzenie godów weselnych, mających także okazać światu sławę królestwa polskiego.

Pan stolnik sandomierski, aczkolwiek w lata już bardzo podeszły, dopisał z nieśmiertelną chlubą włożonemu nań przez króla swego obowiązkowi. Przy pomocy licznej służby dworskiej, której więcej czterystu liczono na zamku krakowskim, potrafił on zadość uczynić wszystkim żądaniom, potrafił tak wszystko urządzić, tak dogodnie poumieszczać i obsłużyć wszystkich gości, iż nikomu nie brakło na niczem, o nikim nie zapomniano.

Cesarz z królami i książętami otrzymali na mieszkanie przepyszne komnaty na zamku, strojne w kosztowne opony i kobierce, w złotogłowia i klejnoty rozliczne. Mniej znakomitym panom, niezliczonemu tłumowi zaproszonych i bez zaproszenia z bliska i z daleka przybyłych rycerzy wyznaczono gospody w mieście.

Każdemu z panów, każdej gospodzie miejskiej przydano osobnego komornika czyli przystawa, mającego pamiętać o wszystkich wygodach gości; wszystkim zaś przystawom zalecił król Kazimierz słuchać rozkazów swego najwyższego zawiadowcy, Mikołaja Wierzynka. Pod jego kluczem rozwarły się teraz skarbce, komory, piwnice, poruszyły się i owe z dawno nagromadzonych zapasów słynne śpichrze Kazimierzowskie.

Trzeciego dnia po przybyciu cesarza Karola odbyły się zaślubiny w katedrze zamkowej, w obecności wszystkich zgro-

madzonych królów, Nuncyusza papieskiego, książąt, panów i szlachty, cudzych i swoich. Obrzędu dopełnił Arcybiskup gnieźnieński, Jarosław, jeden ze znamienitszych mężów, starzec blisko dziewięćdziesięcioletni, z wieku i gorliwej pracy już prawie zupełnie ociemniały, a czczony w narodzie jako „najmędrszy z żyjących wówczas Polaków“.

Chociaż i pierwej biesiadowano już w Krakowie, właściwa pora uciech zaczynała się dopiero od chwili ślubu cesarskiego. Odtąd zaczęły się one uczty kosztowne a wesołe, uczty blisko trzytygodniowe.

Codziennie szły nieprzerwaną koleją zabawy wszelkiego rodzaju; turnieje, gonitwy, tańce, gra w kostki, przedstawienia sceniczne lub tyle ulubione wówczas kuglarskie figle, lecz główną rozrywkę godnowników stanowiły huczne bankiety w pysznych komnatach odbudowanego przez Kazimierza pałacu królewskiego, ustrojonych bogato w owe kobierce i purpury, na których wytwornym haftem, perłami i drogimi kamieniami wyobrażone były orły i inne herby królewskie, w owe przybory stołowe i kredensowe, owe misy ze szczerego złota, naczynia z jaspisu i kryształu, niezliczone rogi do picia, wysadzane złotem i srebrem, o czem wszystkiem jest mowa w testamentowych króla Kazimierza rozporządzeniach. Na turniejach rozdawał król Kazimierz bogate nagrody rycerzom, a każdą biesiadę uświetniało uczczenie gości upominkami, „zdumiewającymi kosztownością“.

Z gwarem godowej biesiady łączył się odgłos weselącego się miasta; jedna myśl, jedno uczucie ożywiały serca wszystkich. Robotnik odkładał swą pracę, kupiec zamykał swe składy, rolnik nawet pług rzucał, spiesząc wszyscy razem do królewskiego grodu, jaśniejącego łuną świateł, by równo z wszystkimi cieszyć się świetną dolą nadobnej wnuki ukochanego przez siebie ojca i króla. Co krok napotykałeś pełno cudzoziemców i swoich, panów i rycerzy, bogatych i ubogich. Stroje wytworne, złotem i drugiemi kamieniami naszywane i wedle ówczesnego zwyczaju z materyi jaskrawych kolorów, mieszały się z sobą.

Nasławszy wszystkim wszystkiego do komnat w zamku i gospod w mieście, pozastawiano dla ludu w wielu miejscach na rynku krakowskim ogromne beczki i kadzie, pełne wina i owsa, z których każden czerpać mógł do woli, a które natychmiast stawały znowu pełne jak wprzódy.

Przyszłoby całą księgę napisać, gdybyśmy chcieli opowiedzieć wszystkie szczegóły. Dość będzie nadmienić, iż każden

nietylko do zbytku otrzymał tego, co zwyczajnie należy się gościowi, lecz nadto dawano mu obficie, czego tylko zażądał, czego zapragnął z sobą na drogę nawet lub do domu.

III.

Trzy już blisko tygodnie wesoło przepędzali zebrani w stolicy polskiej goście królewscy, zapragnął też sędziwy zarządzca dworu Kazimierzowego, pan stolnik sandomierski i rajca krakowski, milionowy bogacz, Mikołaj Wierzynek, ugościć choć na chwilę pod własnym dachem weselnych godowników.

Czcigody mąż prawie wszystkim znajomy osobiście, szanowany był przytem ogólnie za swą prawość i mądrość, jego niezmordowanej czynności zawdzięczali goście weselni, że tak długo mogli się oddawać wszelkim uciechom w swobodzie i wygodzie, gdy więc pożądał tego zaszczytu, pozwolili zaprosić się przez niego na ucztę, odwdzięczając mu tem niejako trudy i starania tak gorliwie około świetnego ich przyjęcia podjęte.

Znów tłumy ludu krzyżują się po Krakowie, widać niezwykły ruch i wesołość po wszystkich ulicach stolicy. I mogłoż być inaczej, w czasie tak wielkiej uroczystości, skoro rajca miejski przyjmować miał u siebie gości swojego ukochanego króla?

Wszystko już było gotowe, oczekiwano tylko czasu ukazania się zaproszonych gości. Stoły zastawione uginały się pod srebrem i złotem, zamorskie przysmaki, różne owoce i płody, z krajów południowych sprowadzone, może po raz pierwszy wówczas na polskiej znalazły się ziemi. Sędziwy Wierzynek przechadzał się z pokoju do pokoju, z kąta w kąt, opatrując wokoło czyli gdzie czego nie brak, czy wszystko na swoim miejscu, bo u siebie sam mistrz dworu Kazimierzowego ład i porządek wszędzie widzieć pragnął. Uśmiech zadowolenia, jaki mu osiadł na ustach, świadczył, że wszystko jest po jego myśli.

Nagle okrzyki radosne oznajmiły wspaniały pochód monarchów i panów do domu możnego stolnika. Gospodarz wystąpił na próg, by powitać wielkich gości i podziękować za łaskę mu wyświadczoną.

W chwili, gdy już zasiadać miano do stołów, pokłonił się Wierzynek monarchom z prośbą, aby według własnej myśli mógł przeznaczyć miejsca każdemu z nich. Otrzymał starzec bez trudności to pozwolenie, poczem zwróciwszy się do króla Kazimierza rzekł: „Tobie, najjaśniejszy panie, winien jestem

wszystko, co mam. Ty swojemi dobrodziejstwami bez miary wzbogaciłeś mnie, przybysza; między najpierwszymi panami posadziłeś mię w twojem królestwie, tobie też pierwsze miejsce należy się u mojego stołu!“ — i posadził Kazimierza najwyżej. Obok niego dał pan stolnik miejsce cesarzowi Karolowi IV, swojemu z dawnych lat znajomemu, a nawet dłużnikowi. Tuż przy cesarzu usiadł król węgierski, Ludwik, potem Waldemar, duński; reszta książąt i panów rozsadowiła się według zwyczajnego porządku.

I wszczęła się uczta, głośniejsza w pamięci pospolitej od wszystkich zdarzeń, które jej dały początek. Kto na niej nie był, trudno temu wystawić sobie jej rysy, tak różne od dzisiejszych. Wówczas bowiem monarchowie mieli prostsze obyczaje i mało się różnili wychowaniem i wykształceniem naukowem od pospolitych ludzi. Pomiędzy biesiadnikami za stołem Wierzynka krążyły też częste puhary z winem i nie umilkła wesoła, niekiedy rubaszna rozmowa, śmiechy szczere i ochocze wiwaty.

A dziwny też zaiste miała charakter ta uczta w Wierzynkowym domu, nie powtórzonym może przykładem w dziejach, aby u stotu prostego obywatela siedziało czterech monarchów, uczczonych przez potomność przydomkiem Wielkich: Kazimierz „Wielki“, Karol IV, „wielki król Czech“, „wielki“ w Węgrzech król Ludwik I i cypryjski Piotr Wielki; jeden tylko Waldemar nie dorównywał swym współtowarzyszom.

Wesoło bawiono się przy uczcie Wierzynkowej i jeżeli świetnością swoją nie przewyższyła, to śmiało powiedzieć można dorównała uczcie królewskiej na zamku krakowskim. Podziwiali monarchowie wspaniałość domu i stołów zastawę, ale przewyższył samego Kazimierza oczekiwanie Wierzynek, gdy pod koniec zębrania, krótko przed pożegnaniem godowników, gościnny a możny obywatel polski uczcił ich jeszcze upominkami niezmiernej ceny, ze złota, srebra i innych drogocenności, stosując je według stopnia dostojności każdego z obecnych.

Gdy wszystkich gości już udarował Wierzynek, przystąpił, jak wieść głosi, do króla Kazimierza i rzekł:

— Zaprawdę od poddanego zacniejszy należy się tobie podarunek, królu! Ty zbogaciłeś ziemię naszą, kraj do wielkiej przyprowadziłeś potęgi, a nasz naród do czci u postronnych ludów, odbierz więc to, co ci się sprawiedliwie należy!

To powiedziawszy, położył u stóp króla wieniec z kłosów pszenicznych i gałązek oliwnych spleciony, na znak, że Kazimierz jest królem ziemi, która nie czuje braku chleba, jeszcze



Sukiennice od strony ulicy Brackiej.
(Po prawej stronie widać kościółek św. Wojciecha — po lewej wieżę ratuszową).

drugich żywić może; a wszystek był ze złota i drogich kamieni.

Różne zaś dary, opowiada kronikarz, które rozdał w ten sposób Wierzynek, przeszły, jak słychać, wartość stu tysięcy złotych florenckich. I jakże pamięć ludzka nie miała była przylgnąć chciwie do tej uczty wspaniałej, zapominając o wszystkich innych zdarzeniach, kiedy jeden prywatny bogacz, Mikołaj Wierzynek, mógł biesiadnym podarunkiem złożyć dary, które wartością przewyższyły wysokość królewskiego posagu! Słusznie też twierdzić można, że skoro jeden obywatel krakowski pracą i oszczędnością dorobił się takiej fortuny, że oto jakby król jaki mógł przyjmować swych gości, jakżeż zamożnym musiał Kazimierz Wielki uczynić cały naród, całe państwo swoje, niedawno jeszcze skutkiem ciągłych wojen zubożałe!

Wśród biesiad i zabaw wesołych zbliżył się wreszcie koniec wszelkim uroczystościom. Z połową maja, przed samemi Zielonemi Świątkami, uczczeni i udarowani upominkami, rozjechali się goście królewscy, unosząc z sobą miłe wspomnienie.

Całe to wesele cesarskie w stolicy polskiej wydało się jednym nieustającym bankietem i uchodzi też w kronikach rzeczywiście za jednę wielką ucztę, wśród której bogactwo i gościnność króla Kazimierza Wielkiego zajaśniały w całym blasku, okazując zarazem błogie skutki pokojowych jego rządów. Sławną stała się ta uczta godowa, lecz nie dlatego tylko, że się odznaczała wielkim przepychem, ale że powstrzymała rozlew krwi, a w miejsce grożącej wojny wróciła jedność i przyjaźń między powaśnionych monarchów.

Taki był przebieg świetnych godów weselnych w Krakowie, których sława, złączona z błogiem wspomnieniem ojcowskich rządów „króla chłopków“, rozeszła się szeroko po świecie i przechowała się w pamięci dziejów naszych.

Góra poznańska.

Słuchajcie gadki starożytnej treści,
Słuchajcie sercy waszemi,
Któż wie jak długo, te słowa powieści
Będą w waszej brzmiały ziemi?

Kiedy Bolesław świętą szerząc wiarę,
Ciemne wykorzeniał wieki,
Strącał i kruszył Polan bogi stare,
W nurtach szumnej topił rzeki,

Miłoż to było pociągnąć oczami
Po wielkopolskiej krainie,
Cała się wkoło zwieńczyła krzyżami
I z gór wyrosły świątynie.

W dźwięcznych się zdrojach rozpływało wszędy
Religijnej spiży brzmienie,
Wszystkiemi drogi na nowe obrzędy,
Lały się ludu strumienie.

I ciągnąc w boje dzielne hufce państwa
Grzmiały hymn Boga-Rodzicy,
A „szczerbiec“ słońcem ranku chrześcijaństwa,
W Chrobrego jaśniał prawicy.

Nie mogło piekło tyle ścierpieć blasku
Tryumfu króla i wiary,
Takim więc grzmotem czartowskiego wrzasku,
Straszliwie rykły pieczary:

„Wstrzymajmy Wartę, przetniejmy jej wody,
„Niech wzrosną w morze topieli,
„Zanurzmy wszystkie świątynie i grody,
„Zalejmy krzyża czcicieli!“

I wichry w jarach, wilki w puszczach wyją,
Głębsza noc czernieć zaczyna,
Drżące się gwiazdy za chmurami kryją,
Wybija duchów godzina.

Snują się, bielą w okropnej ciemności,
Huczą puszczyki i sowy,
Słychać w kostnicach chrzęsty ludzkich kości,
Trupie przemawiają głowy.

I gdzie tę górę zwaną kopcem Nij
W pogańskiej czczono ślepocie;

Gdzie sprosne kłęby i wężów i żmij
I okropnych ropuch krocie,

Gdzie czarne świerki, gdzie ów wiąz spruchniały?
W ostatnim listku już kona,
I wciąż ku niebu, jak nędzarz zgłodniały,
Uschłe wyciąga ramiona.

Jakiż tam hałas i krzyki radosne,
Jakiż szum, szelest po puszczy?
Z wszystkich ziem Polski lecą czarty sprosne,
Do wściekłej łączyć się tłuszczy!

Pędzi, przypada Rokita sromotny,
I Smułka potwór dziwacki,
I czarny Węglik i Boruta psotny,
I okropny Widoracki [1]).

Leci i wyje czarny duch za duchem,
Kupi się poczet szatański.
I wielkim ramion złączonych łańcuchem,
Otacza kopiec pogański.

I trzykroć szumnym okrążywszy lotem,
Z dzikim go wrzaskiem opada,
Ciągnie, oddziera, wykorzenia z grzmotem,
I na spiekłe barki wkłada.

I hura! hura! z wściekłym leci rykiem,
Jak groźną niesie nawałę;
Nocne się ptaki rozpierzchają z krzykiem,
Okropnem widmem zdumiałe.

Z wszystkich stron wichry szumnym lecą hurmem,
W rozległej huczeć równinie,
I bory strasznym rozrzucają szturmem,
A góra płynie i płynie.

I grom za gromem, błysk za błyskiem goni,
Rozświeca larwy piekielne;

---

[1]) Są to nazwiska czartów polskich, wzięte z podań ludowych.

A choć od ludzkiej niedotknięte dłoni,
    Wciąż jęczą dzwony kościelne.

Pędzi i pędzi zgraja przeraźliwa,
    I góra wichry przegania,
Szumi nad puszczą, nad Odrą przepływa,
    Dosięga murów Poznania.

I już, już widzą, dopadają Warty,
    Cieszy się tłuszcza zajadła:
Gdy wtem kur zapiał, i prysnęły czarty,
    A góra w miasto upadła.

Zatrząsł się Poznań, na pół w gruzach runął,
    Czarna pękła nawałnica;
Skoczył nurt rzeki i wstecz się odlunął,
    Zadrżały Gniezno, Kruszwica.

I długo, długo, liczne echa grzmiały,
    Jakby setne rykły burze:
A gdy dzień błysnął, zbiegł się lud struchlały,
    Zjawionej dziwić się górze.

I przez lat wiele, mimo nowej wiary,
    Straszliwym była przestrachem,
Aż na nią wstąpił nasz Mieczysław stary,
    I świetnym zwieńczył ją gmachem.

Licznym on szturmem, licznym łupem męstwa,
    W wojennych wsławiał się latach,
Wzniosłe tam psalmy i hymny zwycięstwa,
    Po złotych brzmiały komnatach.

I coraz, coraz bujniej w państwie młodem,
    Wzrastały wiary nasiona,
A krzyż zbawienia nad całym narodem
    Święte rozciągnął ramiona.

F. M.

WÓJT STANISŁAW.

(Obrazek z życia).

I.

Wójt Stanisław, — pod tem mianem znano go nietylko w gminie ale nawet i w powiecie, — sprawował swój urząd w gminie Kowali od lat trzydziestu kilku.

Rozmowny, zawsze pogodnie uśmiechnięty, lubił wójt Stanisław przy zdarzonej sposobności opowiadać o swych wójtowskich sprawach, a wyrażał się czysto, jędrnie, nierzadko z dosadnym dowcipem i wyborną oceną poruszanego przedmiotu. Zwłaszcza o początkach swego wójtowstwa wspominał chętnie.

— Kiedy po śmierci rodzica objąłem gospodarkę, zaraz mię wójtem obrali — opowiadał. — Strasznie był człek wtedy głupi, aż mi teraz dziwno, że gmina kogo innego nie wybrała. Na książce ledwo, ledwo umiałem się pomodlić, a i to z jednego tylko „Złotego Ołtarzyka“, bo z innej ani rusz! a co o pisaniu, to lepiej nie wspominać! Tyle się człek pociesza, że inni byli chyba jeszcze głupsi, bo człowiek przynajmniej wiedział, że jest głupi — mówił wójt z filuterną miną — i nie miał się za mądrego...

— Jakeście sobie, wójcie, radę dawali? — pytano.

— Jakoś pomaluśku człek przejrzał. Był u nas wtedy organistą w Kowali Balcar, niezła dusza. Zachodziłem do niego wieczorami i dalej **a b c** nanowo, choć mi się już wąsy dobrze wysypały. W pół roku poduczyłem się niezgorzej, a i z pismem dawałem sobie radę. Bo najgorzej dla wójta, kiedy się na pisarskie oczy spuszcza... Na to ma kowal obcęgi, żeby się nie parzył, a wójt pisarza, żeby pisał, ale czytanie i podpis a pieczęć, to już wójtowska rzecz... Pisarz zrazu poszedł ze mną na udry, ale jak zwąchał pismo nosem, przycichł i byliśmy z sobą w dobrej zgodzie przez lat kilka. Swarzył się jeno ze mną, że po gminie piechotą chodzę, jakby podwód nie było...

I rzeczywiście wójt Stanisław rzadko kiedy jeździł po gminie, chyba do odleglejszych chałup; zawsze prawie, nawet w urzędowej formie, chodził piechotą.

— Kiepski to ekonom, co ze szkapy nie złazi, a gospodarstwa z konia dogląda, zawsze coś prześlepi. A zresztą pańska rzerz jeździć, a chłopska chodzić...

W białej sukmanie, w granatowym spancerze, w magierce lub słomkowym o dużym rondzie kapeluszu, obchodził wójt Stanisław gminę, wstępując tam, gdzie mu potrzeba nakazywała.

Znał swoich współbraci na wylot, umiał do nich przemawiać, to też wszelkie uchwały gromadzkie zapadały według jego życzenia i myśli.

A trzeba przyznać, że wpływu swego używał wszędzie i zawsze w dobrym celu. W razie, gdy który mędrek chciał mu bruździć, zapalał się wójt i wtedy nie przebierał w słowach:

— Kiedyś głupi, to stul gębę! — karcił takiego. — Jeszcześ koszulę w zębach nosił, jak ja już wójtem byłem i nie takich mądrali widziałem. Cie-go! nie będziesz płacił, to cię bratku sfantują i będzie wstyd. Jak gromada chce czego, to słuchać, a gębę stulić! Rozumiesz!

— Kiedy to, panie wójcie.. — chciał się tłómaczyć przeciwnik.

— Ty mi nie panuj, tylko słuchaj! Taki ja pan, jak i ty. Z twoim ojcem gęsi pasałem i za łby wodziliśmy się chłopakami. „Panie wójcie!...“ Gadaj człecze „wójcie“, a języka nie rozpuszczaj, to będzie lepiej!

Po takiem powiedzeniu milkła zwykle strona przeciwna, a wójt Stanisław, po zapadnięciu uchwały, wyszukiwał zawstydzonego przeciwnika. brał go za rękę i, łagodząc zbyt ostre wystąpienie, mówił:

— No! nie gniewaj się, Macieju! Widzisz, człek tyle lat siedzi na wójtowstwie, krzywdy ludzkiej na sobie nie ma, to mu i przykro przekamarzać się z takim pędrakiem!...

— Et! tak się człowiekowi wyrwało, a pan wójt zaraz...

— Już ci mówiłem, że ja nie pan, a poprostu wójt!...

— Widzicie, wójcie. Ja ta ze swej głowy nie mówiłem... ludzie przenamówili, a wyście zara po mnie wyjechali — tłumaczył się Maciej.

— Nie słuchaj drugich, jeno swego rozumu, a będziemy zawżdy w zgodzie. Bo z ciebie nie głupi chłop, tylko sparty — przemawiał wójt Stanisław do najzupełniej przekonanego Macieja.

Postępowaniem takiem zapobiegał robieniu sobie nieprzyjaciół w gminie, ogólny też głos gromady twierdził: „takiego wójta, jak nasz, poszukać!“

Będzie temu lat kilka, kiedy raz pierwszy poznałem wójta Stanisława.

Wiosna była, ta nasza kochana, strojąca się w zieleń, słoneczna wiosna. Żyzna polska ziemia zaczynała rodzić. Wystrzelały zpod ziemi łopiany, żółciły się ostromlecze, spinał się rozchodnik po zrębach wąwozów, kępki macierzanki grzały się w jasnych promieniach, szmaragdowa darń zaścielała grzędy i miedze. Z pól dolatywało wesołe „oj dana! dana!“ oraczy, cichy szum rozpękającej wierzby, szelest ożywionej ciepłem zbożowej runi, śpiew ptasząt, przysiadłych w gałązkach rozkwitłej tarniny.

Bawiłem wówczas w jednej z wiosek, przynależnych do gminy Kowali. Znałem już wójta Stanisława z opowieści, zapragnąłem poznać go osobiście i wybrałem się spacerkiem do kancelaryi gminnej. Objaśniono mię, że wójta niema.

— Pewnie w polu... orzą — pouczał stójka.

Wywiedziawszy się, gdzie leży wójtowski polanek, poszedłem.

Za pługiem, ciągnionym w parę doskonałych mierzynów, szedł boso, w rozpiętej koszuli, posiwiały włościanin. Uderzył mnie na pierwszy rzut oka łańcuch na jego szyi. Domyśliłem się, że to wójt Stanisław.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiedział.

— A cóż to, wójcie, tak trudzicie się sami? — spytałem.

— Czy to orka przeszkadza wójtowstwu? — odpowiedział.

— Zapewne, że nie — wtrąciłem. — Tylko dziwi mnie, żeście się przystroili do pługa w łańcuch...

— Jeśli pan co o mnie słyszał — odrzekł z dumą — toż mu chyba wiadomo, że tego z nijakiej ambicyi nie zrobiłem. I tak ludzie wiedzą, że wójtem jestem już siła lat i chwała Bogu nie narzekają. Z umysłu kładę łańcuch na siebie, gdy w polu wypadnie robota. Wójt między chłopstwem pierwsza osoba. Niechże naród wie, że wójt, czy nie wójt, powinien oddać świętej ziemi to, co jej winien. Chłopem się urodziłem, chłopem mi umrzeć, a że tak wypadło, iż mię głową gromady zrobili, to, dla honoru, swego się nie wyrzeknę. Do czego Pan Bóg człeka stworzył, z tego według sumienia rachunek zdać winien.

II.

Słynne też były odezwania się wójta Stanisława w różnych okolicznościach.

Zapraszany przez obywateli, bywał wójt Stanisław we dworach częstym gościem i rad w kółku ziemiańskim gawędził. Chciano go nieraz przy obiedzie na honorowem miejscu sadowić, ale wymawiał się zawsze.

— I tak panowie dość starego wenerujecie, a i śledź przesolony zbrzydnie — tłumaczył, siadając mimo oporu gospodarza, na szarym końcu. — Nibyśwa to wszyscy równi, ale... szczupak szczupakiem, a płotka płotką... Zresztą jadło, czy tu, czy tam jednakowe.

Podczas wizytacyi biskupiej, duchowieństwo parafialne i obywatele ziemscy podejmowali Pasterza dyecezyi składkową ucztą. Do grona biesiadników zaproszono wójta Stanisława. Wystroił się stary odświętnie, w sukmanę z „suką“, w szeroki pas skórzany, nabijany mosiężnemi gwoździkami, w oznaki wójtowskie. Podczas biesiady wzniesiono między innemi zdrowie wójta Stanisława.

Podniósł się stary z kieliszkiem wina w ręku i na podziękowanie przemówił:

— Nie stać mnie na ładne słowa. Poprostu więc dziękuję prześwietnemu zebraniu: Bóg zapłać! Niechże nam wszystkim to wino, które ja, chłop, rzadko pijam, przy łasce Boskiej na dobre wyjdzie. Za zdrowie całej prześwietnej kompanii!

Wychylił duszkiem i, stawiając próżny kieliszek, dodał półgłosem:

— Dawno mi tak żaden trunek nie smakował!

Po skończonem przyjęciu, podszedł wójt Stanisław do jednego z ziemian, odbierającego składki, pytając:

— A siła to tam będzie się należało?

— Od wójta nic. Zaprosiliśmy was jako gościa.

— O! co to, to nie. Nie róbcież panowie despektu mej krwawicy, bobym się gniewał.

I mimo nalegań, wyjął z sakiewki pięć rubli (bo tyle składka wynosiła) i doręczył ją, podżartowując:

— Wcale niedrogo. Niejeden przy okazyi w karczmie więcej straci, a tego honoru nie ma!

Wyciągano też czasami umyślnie starego na słowo, wiedząc, że się znienacka zagadnąć nie da i na każde pytanie trafną znajdzie odpowiedź. Pytano raz wójta Stanisława (rozumie się żartem), dlaczego się nie przebierze?

— Żartujcie zdrowi! — odpowiedział. — Człek chodziłby w paltocie, jak odparzony koń w chomoncie. Także mi wygoda!... Albo ja głupi robić z siebie gawrona na pośmiewisko ludzkie. Wyglądałoby się niczem czarna owca między białemi.

Żartujcie, zdrowi! A na ten przykład po śmierci błąkałby się człowiek na sądzie ostatecznym od gromady do gromady i swoiby go może nie poznali... Własny nieboszczyk rodzic gotówby pasem przeciągnąć po plecach i spytać: Stachu! coś ty z siebie za cudaka wystroił? a nie zostawiłem ci to sukmany, jak się patrzy, żebyś po ojcach dodzierał, żeś się w czarne łachy przyodział!? Żartujcie, zdrowi! Są głupie narody, co im nowość pachnie i rozumieją, że dość magierkę w kąt cisnąć, a kaszkiet przywdziać, to się i w głowie przeinaczy... A jakby człeka z wójtostwa złożyli, byłby na ten przykład jak lokaj dworski, co służbę stracił, jeno liberya została... Już to ja się sukmany nie wyrzeknę; tak się ojcowie nosili, w takiem przyodzianiu przed Panem Bogiem stawali... i ja stanę. A niechby się które dziecko ważyło, póki na oczy patrzę, przeciaraszyć!... Sprawiłbym mu takie pranie, żeby syberyna popękała!

I rzeczywiście, wójtowskie dzieci odziane były po włościańsku, a nawet synowie po ukończeniu czterech klas gimnazyalnych, ze szkolnych mundurków wrócili do sukmany. Jednego z synów osadził wójt Stanisław na roli, drugiemu sklepik założył, a trzeci najmłodszy został organistą.

Pierwszy to raz w życiu widziałem organistę w sukmanie!

Natrącano wójtowi, żeby synów wyżej kształcił, mówiąc, że szkoda chłopców po skończeniu czterech klas zagrzebywać na wsi, że mógłby sobie który poszukać innego kawałka chleba w świecie...

— A po co szukać! Choćby nawet znalazł, to i tak niedobrze. W mojej głowie wieś, nie przymierzając jest jak obora; jak się kto z obory najlepszych cieląt wyzbywa dlatego, że je łatwiej między ludzi puścić, a najgorsze na chów ostawia, to w końcu i obora spaskudnieje. Tak i we wsi... Jak co mędrszy pójdzie w świat, to sami głupi ostaną... A czy dobrze będzie wtedy, hę?

Często zręcznym konceptem umiał wójt Stanisław różne trudności urzędowania przezwyciężyć. Podczas wybuchnięcia cholery nakazano, jak zwykle, grzebać zmarłych na tę chorobę na oddzielnych cmentarzach. W każdej wiosce wybrano na ten cel odpowiedni plac na ustroniu. Wójt Stanisław znalazł się w kłopocie. W gminie zamieszkiwało kilku żydów, dla których, rzecz prosta, trzeba było również osobny kirkut wyznaczyć. Zaproponował izraelitom, aby nabyli gdzie parę prętów gruntu za własne fundusze. Żydzi odmówili, utrzymując, że gmina ze

swoich środków powinna pokryć ten wydatek, a gromady nie chciały na ten cel uchwalić ani grosza. Ani tak, ani owak!

Wzywa tedy wójt Stanisław żydów do kancelaryi gminnej i powiada:

— Niechże kupcy za swoje kirkut kupią, bo gmina pieniędzy niema, a grunt drogi. Juści, jak wy nie kupita, to radzi, nie radzi, będziemy wam musieli poleżysko sprawić. Jest was wszystkiego pięciu, a z żonami i dziećmi głów dwadzieścia; to żeby świętej ziemi na darmosa nie psuć, a grosza nie wyrzucać po próżnicy, weźmiemy wprzód z każdego miarę, żeby wiedzieć dokumentnie, jaki szmatek ziemi potrzebny...

Po tej przemowie żydzi, w obawie miary, drugiego dnia zaraz nabyli odległą pustkę pod kirkut i fortel się udał.

Takim był i jest (bo żyje i urzęduje dotąd) wójt Stanisław. Piękna to i godna szacunku postać. Szczery, rozsądny, do ziemi przywiązany, włościanin prawdziwy, godny do naśladowania przez innych. *K. L.*

Znachorzy u dzikich ludów.

W krajach posiadających oświatę, jak na przykład w Anglii i we Francyi, o znachorach nikt już nie słyszy. Tacy dobrodzieje ludzkości istnieją tylko w krajach, gdzie oświata stoi bardzo nisko, a więc u nas, w Rosyi, w Rumunii, i u dzikich ludów.

Znachorzy u dzikich ludów w Afryce, lub w Ameryce, w Azyi lub Australii, nie wiele różnią się od naszych, co do sposobów oszukiwania i bałamucenia ciemnych prostaczków. I tamci bowiem czynią różne zamawiania, odczyniania, zdejmują uroki, i dają zioła na różne choroby, które nic nie pomagają. Ta chyba zachodzi różnica, między naszymi znachorami, a znachorami u dzikich ludów, że nasi chorobę nibyto wypędzają, a tamci wypędzają z chorego człowieka złego ducha, który wstępuje, według ich wiary, w człowieka, w postaci choroby.

Na rysunku str. 77 podanym, przedstawiony jest znachor, zwany u Indyan amerykańskich „Czarne Nogi“. Ubiera on się tak, żeby w chorym zbudzić najwięcej przestrachu i podziwu. Obwiesza się więc skórami, wężami, jaszczurkami, sowami, kretami, pazurami różnych zwierząt, głowę nakrywa wilczą lub tygrysią skórą, i tak idzie do chorego krzycząc, śpiewając, bębniąc i odpędzając złe duchy.



Znachor u dzikich ludów.

Rozumie się, że chory zobaczywszy znienacka podobnego cudaka, przestrasza się i nieraz w gorszą jeszcze wpada chorobę. A ów znachor skacze koło niego i śpiewa, bębni, urok zdejmuje, dotykając się chorego wężem, żmiją, jaszczurką, kreciemi łapami.

Gdy chory umrze, to znachor w te pędy musi uciekać, by ujść zemsty rodziny. Nie tak, jak u nas, gdzie za wszystko wynagradzają znachora sowicie. Gdyby nasi znachorzy musieli obawiać się podobnej kary, pewnoby zaniechali swoich głupich praktyk.

Organista na „Pustej Nocy“[1].

(Zabawne zdarzenie).

I.

Lat temu pewnie będzie kilkanaście, jak się ożenił Bartłomiej Bąbała z Franciszką Żmudziną, wdową po Wojciechu Żmudzie, najsławniejszym gospodarzu we wsi Pruszczynie. Fatalnie jednak wyszedł na tem, i nieraz potem przeklinał już nietylko nieboszczyka Żmudę za to, że tak wcześnie umarł i zostawił po sobie wdowę, nietylko swoją żonę, lecz i cały Boży świat.

Boć co prawda chłopak to przystojny, krzepki, rumiany, uchodził za najpiękniejszego w okolicy, i każda dziewczyna poczytałaby sobie za największe szczęście, gdyby mogła zostać jego żoną. Ale on wolał starą, z piekła rodem, bez zębów, z krzywym nosem Frankę Żmudzinę, niż którąkolwiek z najpiękniejszych dziewczyn. Franka bowiem miała kilka morgów pięknej ziemi, chałupkę jakby dworek, podwórko z zabudowaniami, jak klateczkę, koniki, bydełko, słowem wszystkiego podostatkiem.

U wdowy, chleb gotowy, mówili ludzie. Bartkowi się też w głowie przewróciło; chciał bez dorobku zostać gospodarzem, no i buch do baby. A że u rejenta zapisała mu cały majątek, więc wyprawił wesele, jakiego nikt jeszcze w parafii nie widział. Oj, płakał też nieraz potem za to. Baba dopiekała mu, iż bywało porywał czapkę, biegł w pole i klął wszystkich na

---

[1]) „Pustą Nocą“ nazywa się u ludu w niektórych stronach Polski, ta noc, w czasie której sąsiedzi i znajomi odprawiają modły przy zmarłym, gdy ciało leży jeszcze w domu.

czem świat stoi, albo płakał jak małe dziecko, albo nareszcie, chodząc nad sadzawką, myślał się utopić. Wprawdzie sam sobie był winien, boć nikt go do małżeństwa z Franką Żmudziną nie przymuszał, ale on do tego się nigdy nie przyznawał i zamiast uderzyć się w piersi i powiedzieć: „Dobrze ci tak, ośle! nie bądź łakomy na cudze gospodarstwa, nie żeń się z babami!“ on, płacząc, wyrzekał: „Aj, Boże, Boże, cóżem Ci zawinił, żeś mię taką żoną skarał, czy za jakie grzechy ukryte, czy co? Oj nieszczęśliwa moja dola!“ Taka to już natura ludzka, że nikt sobie winy nie przypisze, tylko na innych rad ją składa. Już pierwsi nasi rodzice w tem się od nas nie różnili. Gdy Pan Bóg ich pytał, kto zgrzeszył, zamiast się przyznać szczerze, Adam na Ewę, Ewa na węża, a wszyscy winni.

Bywały niekiedy chwile, że gdy mu już cierpliwości zabrakło, porywał powróz, lub co się pod rękę nawinęło i wypisywał żonie na skórze rozmaite linie, to sine, to czerwone, to pąsowe. Baba wtedy wrzeszczała, jak utrapiona, i szarpała się jak kuna w łapce, ale to nic nie pomagało. Tak przeżyli z sobą lat dziesięć, a nie było dnia w którymby się nie bili.

Pewnego razu, a było to jakoś przy końcu czerwca, bo i żyto już wykłosowało i kartofle były opielone i siano zgrabione i zebrane w kopy, Bąbalina, jak zaradna gospodyni, poszła na wiatrak robić kaszę, aby się zaopatrzyć na czas żniw w żywność. Otóż trzeba zdarzenia, że licho poniosło ją podpatrywać młynarczyka, czy jej nie kradnie jęczmienia. Ta podejrzliwość jednakże drogo ją kosztowała; bo chcąc się zupełnie ukryć, by jej nikt nie widział, tak blisko podsunęła się do paprzycy, czy też do jakiego innego koła, że dostała po głowie, aż jej oczy na wierzch wyszły. Pokrwawioną, na pół żywą, przyniesiono do domu. Posłano po felczera, który postawił jej trzydzieści baniek na plecach, ale to nic nie skutkowało. Na drugi dzień zrana przyjechał ksiądz z Panem Jezusem i opatrzył Bąbalinę ostatniemi Sakramentami świętemi. O godzinie 10tej Franka oddała duszę Bogu.

Bartłomiej odetchnął; zdawało mu się, iż na nowo się na świat narodził, a obawiając się, aby to nie było tylko złudzenie, obszedł dokoła łóżko, na którem leżała jego żona, przyjrzał się jej uważnie ze wszystkich stron, dotykał ręką twarzy, a widząc, że już zwłoki zimne, z radości i zdziwienia, potrząsł głową i rzekł:

— A to dopiero — mu!

Radość Bartłomieja była tak wielką, iż począł płakać. Ze-

szły się sąsiadki i zaczęły go pocieszać, dziwując się niezmiernie jego wielkiej żałości. Wiedziały bowiem, jakie było jego z żoną życie.

Trzeba było pomyśleć o pogrzebie i o pustej nocy. Bąbała bowiem już dlatego samego, aby pokazać, że dba o nieboszczkę, już też, żeby widziano, że jest zamożnym i nie skąpym gospodarzem, postanowił wyprawić pogrzeb przyzwoity. Uprosił przeto sąsiadkę, Kacperkę, aby co rychło zamiesiła na chleb, służącą wysłał po siostrę do Kiełtyk, a sam zaprzągł szkapy i pojechał do Andrzejewa kupić trumnę, wódki, piwa i innych potrzebnych do przyzwoitego pogrzebu rzeczy. Po drodze wstąpił do Ciućkowa do organisty i zaprosił go na „pustą noc“, aby śpiewami kierował.

II.

Organista Ciućkowski nie był taki, jak inni. Oho, to człowiek wcale niezwyczajny. Nazywał się Jacenty Krysiak, miał żonę i jedynego syna też wcale niezwyczajnych. Wszyscy w tamtej parafii to samo powiedzą. Grał nietylko na organach, ale i na skrzypcach wycinał nieraz na weselu, aż skrzypiało, i fortepian wystroił, i mowę na „pustej nocy“ wygłosił, aż baby nieraz płakały, słowem, niedarmo nosił na karku głowę, której mu wszyscy chłopi zazdrościli. Gdy był zaledwie dwunastoletnim chłopcem, już doradzał parafianom, zebranym na naradę, aby nie budowali plebanii z drzewa, tylko z gliny, bo, mówił, będzie trwalsza. Nie posłuchano go jednak; to też teraz wytyka im to nieraz, bo dom się już wali i podkłady zupełnie spróchniały.

Nie obejdzie się też wesele, chrzciny lub pogrzeb, na którychby organista z żoną nie był. Jeść mógł, dzięki Bogu, dobrze; nigdy nie odmówił, gdy mu jeszcze przykładano; nie pogardził też kieliszkiem, chociaż wódki nie pił, bo się bał ks. Proboszcza.

Oj, ten Proboszcz dał mu się nieraz we znaki: to ampułki brudne, to ornat zgnieciony, to świece połamane, to Bóg wie jakie przyganiania. Ale nic tak organistę nie bolało, jak zarzut ks. Proboszcza, że źle śpiewa. On, co go Pan Bóg wszystkiemi prawie talentami obdarzył, miałby źle śpiewać. Nieraz też narzekał organista: „Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Proboszcz. W niczem mu dogodzić nie mogę!“ Na domiar tych udręczeń nastał do Ciućkowa nowy ks. Wikary, który koniecznie chciał zaprowadzić niesłychane w tych stronach śpiewy

jakieś gregoryańskie. „Nie wolno, powiada, śpiewać na Mszy po polsku, nie wolno wygrywać wesoło; proszę śpiewać ze śpiewnika ks. Surzyńskiego!“ Pomięszało się biednemu organiście w głowie, choć miał ją nielada. „Czemu, myślał, dotąd wszyscy śpiewali i dobrze było, czemu ks. Proboszcz nie mówi, że nie wolno, tylko, że źle śpiewam. Nie, to nie do wytrzymania. Ale, niech sobie ksiądz Wikary robi co chce: zobaczymy, jak on tu długo pobędzie. „Dłużej klasztora, niż przeora“. Oj, cieszył się niezmiernie, gdy po dwóch miesiącach ksiądz Wikary musiał wędrować gdzieś do innej parafii.

Z złośliwym uśmiechem żegnając księdza, pytał „czy i tam ksiądz będzie uczył nowego śpiewu?“

III.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — zawołał Bartłomiej Bąbała, wchodząc do wozarki, w której organista rąbał drzewo.

— Na wieki wieków Amen — odrzekł tenże, podnosząc głowę na przybyłego, lecz w zgarbionej postawie, trzymając siekierę za rękojeść, utkwioną w kłodę drzewa. — A! to wy! Bartłomieju, cóż tam słychać dobrego?

— Nic tam dobrego, mój panie — odrzekł chłop — drapiąc się w głowę. — Baba oto tak niespodzianie mi poszła i wszystko zostawiła!

— No, to bardzo pięknie, że zostawiła. Byłoby nietęgo, gdyby wszystko zabrała. O wtenczas to krucho z wami, ale że zostawiła, to nie macie się czego martwić. Wyprawicie suty pogrzeb, a potem pomyślimy o weselu i skończony interes.

— Eh! co mi tam pan zaraz mówi o weselu, kiedy mi dziś ledwo serce nie pęknie z żałości — mówił Bartłomiej, siląc się choć na jednę łezkę, aby pokazać, że żałuje żony.

— Nie macie, mój Bartłomieju, czego żałować, — odparł organista z uśmiechem. Wiedział bowiem, że Bąbała żal swój udaje. Dostaniecie młodszą i lepszą. A nie wiecie, co to Pismo święte mówi w takich razach!

— Ba i skądże mam wiedzieć, co w piśmie stoi. Czym się to uczył, jak oto pan.

— No, to ja wam powiem: Regem cui omnia vivunt, venite adoremus, to znaczy po polsku: jak ci żona umarła, żeń się prędzej z inną. Tak się zaczynają wigilie przy katafalku, czy nigdy nie słyszeliście tego?

— Toć człowiek słucha, ale czy to uważa?

— No to teraz uważajcie, jeśli przy waszej babie nie zaśpiewa sam jegomość tego, to mię kpem nazwiecie.

— No, ale ja przyszedł pana prosić na „pustą noc“. Trza babie zaśpiewać, niech wie, że o nią dbam.

— A macie tam dla mnie co dobrego, bo to, widzicie, śpiewać darmo, boli gardło.

— Jadęć przecie nie napróżno do Andrzejewa, jeno żebym co dobrego dla pana przywiózł. Znajdzie się pożywienie, jeno niech pan głośno śpiewa. A radbym żeby i przemowa była. Korczyka żyta nie pożałuje.

— No, no, dobrze, dobrze; przyjdę na pewno!

IV.

W chałupie Bartłomieja Bąbały zebrało się bab i dzieciaków z całej wsi, jak mrowia. Było też sporo mężczyzn.

Nieboszczka Bąbalina leżała na łóżku przy ścianie, okryta białem prześcieradłem. W alkierzu kręciły się żwawo siostra Bąbały ze służącą koło przygotowań dla należytego przyjęcia tylu łaskawych gości. Krajały chleb, smarowały grubo masłem i układały w krajanki w przetaki i sita. Gotowały coś w wielkich saganach, jakby kawę czy mleko, bo nie można było zmiarkować po zapachu, a trudnoć się było pytać lub w garnki zaglądać. Bąbała siedział na przypiecku i w najlepsze drzemał. Ktoś obcy by myślał, że tak w smutku pogrążony z wielkiego zmartwienia, a on pono coś z radości w Andrzejewie zawiele sobie wypił.

W izbie było duszno i gorąco, gwar jak w ulu. Wszyscy pozasiadali na rozstawionych po całej izbie ławach i stołkach. Przy stole rozsiadł się organista, przed sobą rozłożył kantyczki i kancyonał, a to dla większej powagi, aby wiedziano, że podług nut śpiewa. Przy nim z jednej strony siedział Piekut, sławny śpiewak w parafii, z drugiej strony stara Gozdaniaczka z młodą Grzelakową, pierwszemi kantorkami Różańca świętego. Na stole postawiono dwie świece i krzyż. Organista klasnął w dłonie i zawołał: Uciszcie się! Zaczynamy! Deus in adjutorium meum intende! Baby spokojnie! Dzieciaki mores!

W izbie zapanowała cisza. Organista odchrząknął i głosem cienkim, podobnym do rozbitego garnka, wykrzywiwszy przytem strasznie usta, zaśpiewał: „Kto się w opiekę!“ Do jego głosu przyłączył się krzyk Piekuta, pisk starej Gozdaniaczki, brzęczenie młodej Grzelakowej i wkrótce cała izba zamieniła się w ryk jakiegoś stada, które wydawało ze siebie naj-

rozmaitsze głosy. Każdy bowiem śpiewał z innego tonu, a raczej każdy wrzeszczał na całe gardło. Dopiero w trzeciej zwrotce śpiew począł być nieco spokojniejszy i regularniejszy. Z zapałem prześpiewano pieśń do końca, ale z daleko większą werwą spożywano podany po skończonej pieśni poczęstunek. Organista z kantorami najwyborniejsze kąski i zamiast wódki zwyczajnej, od której się wypierał, dostał coś podobnego do wina.

Po skończonym poczęstunku organista zaczął: „Przez czyścowe upalenia“, potem „Jezus w Ogrojcu“ i t. d., a po każdej pieśni zjawiał się z alkierza chleb i wódka, a kto wódki nie pił, kawa, mleko i piwo. W izbie robiło się coraz bardziej gorąco; niektórzy już się kiwać zaczęli.

Było już po północy, gdy rozmarzony arakiem i wiśniakiem organista zaintonował „Trójca Bóg Ojciec“ i pomyślawszy w swej mądrej głowie, że dobrze byłoby odpocząć, mruknął pod nosem: „a śpiewaj sobie kto chcesz, bo mnie już gardło boli“ i cichaczem wyniósł się z za stołu na przypiecek do Bąbały.

Bartłomiej w tym czasie śnił w najlepsze o weselu, o France Pietrzakównie, która chociaż miała nos nieco przyduży, aleć w każdym razie łagodniejszy od krzywego nieboszczki jego żony, a przytem 15 mórg dobrej ziemi z wypłatą półtora tysiąca złotych.

— Bartłomieju — szepnął organista do ucha Bąbale, trącając go w bok — nie martwcie się, ja wam wyswatam kobietę, co się zowie. A którąbyście też najchętniej wzięli?

— Ej, ja tam nie myślę wcale o weselu — odrzekł przebudzony ze snu Bąbała — żałośnie mi oto bardzo na duszy za nieboszczką. Umarła ot tak przypadkiem, czegom się wcale nie spodziewał.

— Umrzeć każdy musi, dziś czy jutro, to na jedno wyjdzie. Żeście z nieboszczką nie użyli szczęścia, to wszystkim wiadomo. Żniwa nadchodzą, nie zawadzi zawczasu pomyśleć o weselu. Nieboszczka umarła, requiescat in pace, a wy bez żony obejść się nie możecie.

— W głowie mi się mięsza. Żal mi nieboszczki! Dziś bym i o Pietrzakównie nie pomyślał.

— A! rzeczywiście, to dziewucha w sam raz dla was — szeptał organista — to jedna z najpiękniejszych w parafii. Mała, pękata, poważna, jak gąska. To mi żona, nie tam jakaś wysmukła jak wiecha, co od wiatru się ugina. To jak Sara, jak Rachel. Będziecie mieli Bartłomieju tęgą żonę... Och, ja już to zaraz idę do Pietrzaka.

— Ale zawcześnie, panie Jacenty, co pan mówi, kobieta leży jeszcze w domu, a już o inną się starać? co to ludzie powiedzą?

— Ja przecież nie powiem, że wyście mnie przysłali, jeno tak sobie pójdę i będę mówił, żeście dobry, uczciwy, stateczny, że macie majątek, to im zaraz przyjdzie do głowy: żeby tak chciał naszą Frankę, tobyśmy ją zaraz dali.

— Ale to później, po co się spieszyć?

— Po co się spieszyć? a jak was kto uprzedzi. Czy to mało ludzi na świecie? Jutro może wam kto sprzątnąć z przed nosa Frankę i jeszcze wam figę pokazać.

Zamyślił się Bartłomiej, zamyślił i organista. Wkrótce poczęli się obaj kiwać na wszystkie strony.

Śpiew tymczasem szedł coraz ciszej i ociężalej, gdyż sen i śpiewakom nie dał spokoju, klejąc im oczy, i wódka ciągnęła silnie głowy ku ziemi i zmęczenie odbierało siły i zadęcie tak, że w końcu śpiew przeszedł w stękanie. Z wielką biedą dojechano do końca.

(Dokończenie nastąpi).

Figle i żarty.

Dlaczego młodszy. Chłop do żyda: Icyk! tyś dziś młodszy o dziesięć lat. Co cię tak odmłodziło?

Icyk: Nu, ja się dziś po dziesięciu latach wikąpałem.

Wtedy się zabawią. Dzieci do matki: Matusiu, opowiedzcie nam co ciekawego.

Matka: Cóż ja wam powiem! Nic nie wiem! ale zaczekajcie, niechno ojciec wróci z karczmy!

Między sąsiadkami. Ta Szymonowa nie może utrzymać języka za zębami.

— Ba! — bo ona już nie ma zębów, tylko pniaki.

W sądzie. Sędzia: Byłeś kiedy karany!

Obwiniony: Raz tylko i to przed 15 laty.

Sędzia: No... to jeszcze nie źle. A na wiele cię skazano?

Obwiniony: Na pietnaście lat... wysoki sądzie.

Na jaki użytek? Przychodzi chłopiec do gospodyni i mówi: Moja matusia proszą was, byście nam pożyczyli wałka do ciasta.

Gospodyni: Czy na pierogi?

Chłopiec: Nie, na ojca, jak przyjdą ze szynku.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.